Rozmaitości

Dnia 26. Listopada **Nr 48.** 1836 Roku.

VAN-DYK W GENUI.

Powieść przez p. Mery.

(Dokończenie.)

Hrabia Brignole żegnał się właśnie z kilku młodymi panami, swoimi przyjaciołmi, gdy wszedł Pallavicini i skinął nań tajemniczo. Udali się ku altanie, nie daleko od gościńca; Pallavicini, przybrawszy minę surową, zapytał hrabiego: »Czy znasz markiza Gippino?« — »Nie znam go,« odrzekł hrabia, »lecz wiadomo mi, że między nim, a ojcem moim panowała nieugaszona nienawiść.« — »Syn jego czeka na cię u studni na dolinie Lerbińskiej; wezwał mię na sekundanta, wezwiejże kogo ze swojéj strony, nim się przyjaciele twoi rozejdą.« Hrabia Brignole oniemiał. »Hrabio Brignole, czy zrozumiałeś moje słowa?« — »Wyzwania Gippina nie odrzucam; stanę mu jutro.« — »Jutro twój wróg będzie już w drodze do Florencyi, i obwieści wszędy twoją hańbę.« — »To szczególniéjsza chwila do wyzwania! Niech i tak będzie, jednakże żądam jednéj godziny...« i obrócił się ku swemu pokojowi. — »Godziny!« zawołał Pallavicini, wstrzymując go, »nié mam władzy pozwolenia ci jednéj chwili; juześmy i tak stracili dużo czasu.« — »Aleź pozwolisz mi przynajmniéj tyle czasu, abym uścisnął moją małżonkę.« — »Nie więcéj, tylko, ile go potrzebujesz do wzięcia broni swojéj, to jest wszystko, każda stracona minuta wyrywa z twojéj herbownéj tarczy złote ziarno.« — »Jestto okrucieństwo nie do pojęcia, po niém poznaję Gippiniego, jak mi go ojciec stokrotnie opisywał. Tu moja szpada, pójdź!«

Hrabia udał się do grona swoich przyjacioł, których był opuścił i rzekł: »San Gallo, racz mi towarzyszyć do kościoła dellaConsolatione.« — »Za daleko chcesz mówić swój pacierz, nim się udasz na spoczynek!« zawołał śmiejąc się San Gallo. — »Tak jest,« odrzekł zimno hrabia, »chceszże mi towarzyszyć?« San Gallo, zrozumiawszy go teraz do połowy, nic mu nie odpowiedział, i szedł na schody.

Wszyscy trzej sprawcy téj sceny zeszli po schodach i udali się w milczeniu aż za ostatnią bramę; tam ujrzeli mężczyznę, przesłonionego płaszczem, który zdawał się czekać na nich. »To bez wątpienia mój zapaśnik,« mówił Hrabia Brignole. — »On sam,« odpowiedział Pallavicini. — »Więc znasz Gippiniego?« — »Bynajmniéj; spotkał on mię w ulicy *Balbi*, pytał, czym szlachetnego rodu; opowiedział mi swoję sprawę, a jam na nię przyzwolił.« — »Dobrześ uczynił; przynajmniéj z tobą nie obawiamy się zdradzieckiego podejścia.« — »Toż samo i ja myślałem.« — »Dziękuje ci.«

Wyszli na pole; Van-Dyk szedł blizko 20 kroków naprzód i zatrzymał się w małym tamaryndowym lasku, którego ciemne gałęzie zmrok nocny powiększały. — »Tożto jest miejsce, hrabio Gippino, w którym chcesz święcić uroczystość walk między naszymi zacnymi rodzinami?« Van-Dyk wziął szpadę w rękę, i nic nie odrzekł. »Powiadam ci zawczasu,« mówił daléj Brignole, »że się mężnie bronić będę; nie chcę zostawiać wdowy w pierwszéj nocy mojego wesela.« Van-Dyk, wstrząśniony grozą, stanął w pogotowiu do walki. Obaj przeciwnicy skrzyżowali się orężmi, walka nie długo trwała, Van-Dyk otrzymał mocne cięcie w prawe ramię; będąc słabéj budowy ciała, i łatwo podpadający suchotom, które go już za młodu niszczyły, osłabiony nadto wrażeniami tego dnia strasznego, padł ze-

mdlony na trawnik. »Wyszlę-ć lekarza,« rzekł spokojnie hrabia Brignole i oddalił się w towarzystwie San Gallo.

Pallavicini niósł biednemu zranionemu artyście wszelką możliwą pomoc. »Mój przyjacielu!« ozwał się Van-Dyk, »mam dość pieniędzy na wykupienie twego pałacu i twojéj wili. Dam ci je; pójdź za tym człowiekiem, bij się z nim; będziesz szczęśliwszy ode mnie, zabijesz go!« — »Krew twoja płynie, muszę ją zatamować; uspokój się!« — »Niech płynie krew moja, niech ginę!... Czy wiész, że on w tryumfie do swego pałacu wróci? że łzy radości i ogniste pieszczoty czekają go tam, że się otworzy raj dla niego, piekło dla mnie? Idź, powiadam ci, zawróć go z drogi, nim wały przekroczy!« — »Uspokój się, uspokój! proszę cię; jutro odzyskasz siły; teraz zawiążę ci twoje rany.« — »Aha! ty się boisz!« — »Więc hańbisz mię nawet?...« — »Sam za nim pobiegę, ja sam; puść mię... puść... idę... przeklęcie!« I padł bezsilny na ziemię.

Gdy Van-Dyk wrócił do zmysłów, ranek rumienił wierzchołki Appeninu. »Co za szkaradny sen!« były jego pierwsze słowa, rzucił w koło siebie wzrok dziki, i całował rękę Pallavicinego, skrapiając ją łzami; potém uśmiechnął się gorzko, wskazując na skrwawiony trawnik, i wzniósł oczy w niebo z wyrazem, jaki tylko wielkie dusze nadają twarzom swoim w godzinie walk dokonanych. »Czujeszże się dość silny, aby zajść do miasta?« pytał Pallavicini. — »Tak, ale cóż mam robić w mieście? Wszystko stracone... Patrz jak śmiejące się słońce w błękit się wznosi, jak uradowana jest cała przyroda. Słyszałem przez sen w dzisiejszém zaraniu śpiewającego skowronka... Bóg często z nas tak szydzi... cóż jego, cóż przyrodę obchodzi nasza nędza! Gdyby po każdéj cierpiącéj istocie przywdziéwała żałobę, musiałaby ją nosić ustawicznie... Dobrze więc! dobrze, strójcie się w błękit i złoto piękne Italii niebiosa, to rozraduje nędzę waszych dzieci.« — »Zdaje mi się, że możem' wracać,« rzekł spokojnie Pallavicini. — »O! ty, ty jesteś z marmuru, równie jak wila, którą zbudować kazałeś... kochałżeś ty kiedy?« — »Sto razy; ale nigdy twoim ogniem.« — »Czy kochałeś kobiéty któreby ci dały poznać wzajemność, a innym rękę oddały?« — »Bez wątpienia kochałem.« — »Cóżeś w tym przypadku robił.« — »Pocieszałem się.« — »Czy w istocie? To szczególniejsza, że twoje słowa, tak mię uspokajają; podaj mi rękę, niech ją uścisnę, przez ciebie stan mój się polepsza.« — »Bogu dzięki! przychodzisz do zdrowia; wesprzej się na mojém ramieniu i wracajmy do miasta.« — »Słuchaj, hrabina Bri...« — »O, nie wymawiaj jéj nazwiska.« — »Niech i tak będzie; hrabina jest piękna, piękna do zachwytu, to prawda; płeć ma różaną, przejrzystą; jéj promieniące oczy błękitne jak morze genueńskie, jak koral jéj usta, zęby jak perły, szyja jak kość słoniowa, a jéj postać, ach jéj postać, znam tylko jedną panię takiéj kibici, jestto Wenus twojego przyjaciela Tycyjana w Wenecyi. Co się tycze jéj ducha, zalet jéj serca i duszy, o tém mi nigdy nie mówiłeś; widzę, że cię to mało obchodzi... A więc daj mi 24 godzin czasu, a ja stworzę ci inną hrabinę Brignole.« — »O, zamilcz, zamilcz! to jest niepodobieństwem!« — »Niepodobieństwem? Stworzę ci więc daleko lepszą, niż hrabina Brignole... Straciłem mój pałac, daj mi piękniejszy, a natychmiast się uspokoję; na moją uczciwość!... Dobrze, ty się uśmiechasz, masz się już lepiéj; a więc daj pokój spiéwającym skowronkom i przyrodzie, która z ciebie szydzi, a mów rozumnie ze mną. Mój przyjacielu wszystkie hrabiny Włoch nie warte tyle, ile krew płynącą z żył takiego mistrza, jakim ty jesteś.« — »Ależ o jakiéj innéj pani chciałeś mówić?« — »Błogosławiona niech będzie ta pani! jesteśmy już uzdrowieni! Ach, ty się już inną panią zająłeś!« — »Jestto czysta ciekawość.« — »Rozumię... mój Boże! miłość artysty nie jest, jak mi się zdaje, niczém innêm, tylko szaloną ciekawością; gdyby Wenus z wili Adryjańskiéj o tysiąc stóp w ziemi była zakopaną, tedybyś został grabarzem, abyś ją mógł wykopać, wynieść na światło, pierwszy ją ujrzéć i pierwszy uściskać. To prawda. Wy artyści rządzicie się zmysłowością; wasza niestałość weszła w przysłowie; robicie muzeum z waszych kochanek, jak gabinet dla waszych obrazów, jestto wasze rzemiosło, badacie przyrodę; widzicie tylko piękny model tam, gdzie inny widziałby przedmiot idealny, o którym marzyłby platoniczną, nieprzemijającą namiętnością. Teraz pokażę ci model, przed którymby Wenus Afrodyta w swojéj kąpieli zakryła się z zawiści.« — »Jéj imię?«

— »Jutro się o niém dowiész. Dziś ulecz twą gorączkę, i spij.« Tak rozmawiając obaj przyjaciele stanęli po niejakich zboczeniach przed drzwiami swojego domu na placu *Annuncyjady*. Miasto było jeszcze we śnie pogrążone; zawołano lekarza, znalazł on ranę bardzo lekką, mimo upływu krwi. Zalecił tylko przez 24 godzin spoczynek.

Nazajutrz koło południa sługa w barwie hrabiów Brignolów wszedł jako posłaniec do pokoju Van-Dyka. Pallavicini właśnie ubierał słabego jeszcze i bladego artystę. Hrabia Brignole zapraszał Van-Dyka do swego pałacu.

»To szczególniejszy przypadek,« mówił malarz, »czego hrabia żąda ode mnie; nie zna mię; nie widział mię nigdy.« — »Musisz pójść do niego; czy chcesz, abym ci towarzyszył?« zapytał Pallavicini. »Zapewne, sam do niego nie pójdę; jestto jakiś szatański podstęp... o spieszmy, spieszmy do pałacu Durazzo.« — »Ah, to kłopot; lękam się powrotu twojéj słabości; obaczysz ją znowu, i...« — »Ją? ją znowu obaczyć? nigdy, nigdy; obaczę hrabiego, wszak jego tylko widzieć potrzebuję. O, ją obaczywszy padłbym jéj do nóg; umarłbym ze wstydu, rozpaczy i zazdrości. Pójdź!« — »Jeszcześ się nie dość uspokoił, i jesteś za słaby do tych odwiedzin. Powinniśmy zaczekać do jutra, albo przynajmniéj do wieczora.« — »Nie, ani chwili.« — »Ach, otoż powtórny napad!« — »O, ty mię nie znasz, już po wszystkiém, upewniam cię; nie jestto już więcej niczém inném, jak tylko bolesnym snem, przypomnieniem. Pójdź do Durazzo, pójdź!«

Van-Dyk ubrał się przepysznie; lecz świetność jego stroju nie mogła zakryć w jego twarzy wyrazu cierpienia i wzruszenia, był on okropnie blady, a jego chód, jakkolwiek udawał mocnego, był chwiejący się, jak tego, który przychodzi do zdrowia. Skaleczoną rękę włożył, jakby przypadkiem w rozpięcie swojéj sukni; drugą zaś spiérał się o poręcz marmurowy wschodów, wiodących do pałacu.

Zaprowadzono go do galeryi, hrabia nie dał długo czekać na siebie. »Panie Van-Dyk!« mówił on, wychodząc ku niemu, »daruj mi moją niedelikatność; słyszałem, że powróciłeś do naszego miasta; nie miałem zaszczytu poznania cię w czasie pierwszego twego tu pobytu, spieszę więc tą razą ofiarować ci moją przyjaźń i mój pałac. Durazzo jest mieszkaniem wielkich mistrzów, nie prawdaż hrabio Pallavicini?« Van-Dyk skłonił się i milczał; zdziwiony był tą nowiną. »Proszę panów zająć miejsca; muszę pomówić o małym interesie z panem, panie Van-Dyk. Przedwczora pojąłem żonę, bez pochlebstwa mogę to o sobie powiedzieć, że ją pojąłem ze skłonności; życzę sobie, aby ścislejsza znajomość nasza rozpoczęła się pod wróżbą godną waćpana talentu i mego majątku; pragnę, abyś zrobił obraz mojéj żony. Chociażby mi przyszło zakryć wielkość jego płótna cekinami, zawsze jednak byłbym ci wielce obowiązanym.

Van-Dyk skłonił się na nowo. Jego milczenie wzięto za skromność artysty w przytomności znakomitego pana.

»I kiedyż pan żądasz, abym rozpoczął robotę?« — »Dziś jeszcze.« — »Jestem gotów,« odrzekł Van-Dyk słabym głosem. »Jesteś wielce łaskawym dla mnie, uprzedzasz moje chęci. W mojéj pracowni znajdziesz już na to przygotowane płótno; chcę miéć obraz wielkości naturalnéj, tak, jak jest hrabiny Velletri, któryś wćpan malował, i który jest arcydziełem, jak wszystko, co z pod jego pędzla wychodzi..... Ach, hrabio Pallavicini, w jakimże stanie zostawiłeś naszego bohatéra z doliny Lerbińskiéj. Powiedźże mi co o nim.« — »Pojechał dziś rano do Florencyi.« — »Jestto szermierz najęty od hrabiów Gippini, wiedziałem o tém dobrze. Nieprzyjaciele moi chcieli mię zabić w dzień mojego wesela; rzecz ta dobrze była ukartowana... Bądźcie panowie łaskawi zatrzymać się tu chwilkę, a ja przyprowadzę wnet moją małżonkę.« I poszedł do swego pokoju.

Van-Dyk i Pallavicini poglądali po sobie przez chwilę nie mówiąc i słowa... »Dam ci dobrą radę Van-Dyk! chcesz jéj posłuchać?« — »Chcę.« — »Oddal się.« — »Niepodobna, cóżby nato powiedział hrabia?« — »Cóż cię to obchodzi?« — »Myślałby, że'm szalony.« — »Będziesz nim za ćwierć godziny w istocie.« — »Zdaję się na los szczęścia.« — »Ależ pamiętaj, żeś ranny, że nie utrzymasz pędzla w ręku.« — »Będę lewą ręką malował.« — »Jesteś blady, cierpiący, w twojéj piersi zgryzota, zginiesz przy twojém dziele.« — »Tém lepiéj!«

Drzwi się otwarły i weszła hrabina... Można było powiedzieć, że rozjaśniła galeryję pro-

mieniami swéj piękności, sam Pallavicini ledwie w sobie przytłumił okrzyk podziwienia, który byłby mu się wymknął z ust mimowolnie; albowiem nigdy nie widział jéj tak piękną. Miała na sobie suknię czarną, złotem przetykaną, piers i ramiona odkryte, a kolor sukni podnosił ich ćmiącą białość. Boskim uśmiéchem pozdrowiła obydwóch gości, a zwracając się do Van-Dyka, rzekła z nieporównanym wdziękiem: »Jestem na pańskie usługi, mój panie; wielkim jest dla mnie zaszczytem siedzieć panu.« — »Udajmy się do pracowni,« rzekł hrabia Brignole, »pan Van-Dyk wybierze sobie pęzle, płótno i palet.« Wszystko czworo udali się do pracowni obok galeryi. »Teraz jesteś pan w domu,« mówił daléj hrabia; »czy pozwolisz nam tu zostać?«

Van-Dyk nie należał już ziemi; nic nie odpowiadał; lecz hrabia Pallavicini, litując się rozkochanego swego przyjaciela, powiedział z zimną krwią do hrabiego: »Ja znam Van-Dyka; nie lubi on, aby mu przeszkadzano, niechętnie maluje przy świadkach; wyjdźmy.«

Hrabina i Van-Dyk zostali sami. »Nie znam nic piękniejszego, jak jest obraz margrabiny Velletri, twojéj roboty panie!« ozwała się hrabina tonem poufałym, chcąc zręcznie zawiązać rozmowę. — »Zrobię co tylko w mojéj możności, abym i w téj mojéj pracy uzyskał jéj zadowolenie,« odrzekł lękliwie malarz. — »Masz je pan już naprzód. Margrabiny nie znam, czy piękna?« — »Pani! nie widziałem jéj nigdy.« — »Jak o? wszakże malowałeś ją?« — »Ah, margrabina... przebacz pani, myślę tylko o moim pęzlu i moich farbach... sądzę, że jest dość przystojna.« — »Zdaje się, że pan prędko zapominasz o swoich modelach... Ach, czy chcesz pan malować mię siedzącą? nie lubię téj postawy; pragnę być odmalowaną stojąco, uśmiechającą się, z kwiatem w dłoni. Podoba się panu ta suknia?« — »Nie, pani!« — »Znachodzisz ją za ciemną?« — »Milszą byłaby mi suknia, którąś pani miała przed rokiem, podczas uroczystości w pałacu Doryjów.« — »Więc byłeś pan tam w czasie publicznego balu? ja pana nie widziałam.« — »Miałem zaszczyt tańczenia z nią i mówienia. Zdaje się, że pani zapominasz o swoich tancerzach równie prędko, jak ja o swoich modelach.« — »Ach, to rzecz najmilsza dla mnie, miałam tyle tańcerzów.« — »A ja tyle modelów.« — »Uraziłeś się panie Van-dyk, przebacz memu żartowi... Lecz jeźli będziem ustawicznie rozmawiać, nie postąpi robota obrazu.« — »Obraz pani już gotów.« — »Gotów? wszakżeś pan jeszcze ani razu pęzlem nie pociągnął!« — »Od roku gotów. Możem' już wyjść.« Van-Dyk powstał, ukłonił się hrabinie i szedł ku drzwiom. »Czy pan istotnie odchodzisz?« rzekła hrabina. — »Odchodzę, a jeźli pani pozwolisz wziąć klucz od pracowni, powrócę dziś w wieczór, aby przyłożyć ostatnią rękę do jéj obrazu.« — »Czy trzeba będzie siedzieć?« — »Nie trzeba, obraz już gotów.« — »Kiedyż rozwiążesz pan tę zagadkę dla mnie?« — »Jutro.« — »Czy mam mówić o tém mężowi?« — »Jak pani chcesz.« — »Więc mu nic nie powiém.« — »Jak się pani podoba.«

Van-Dyk zamknął starannie drzwi pracowni i szukał hrabiego Pallavicini w ogrodzie. »Piérwsze siedzenie było bardzo krótkie,« rzekł hrabia Brignole. — »Dziś w wieczór będzie ostatnie,« odpowiedział malarz. — »Co za przedziwna łatwość!«

Van-Dyk i Pallavicini opuścili pałac, a gdy pominęli kościoł San Carlo, pytał zafrasowany Pallavicini swojego przyjaciela: »No, jakże się masz?« — »Uleczony zupełnie.« — »Zupełnie?« »Brakuje mi tylko tego środka, o którym mi mówiłeś.« — »Będziesz go miał.« — »Płocha, jakby z klasztoru uciekła, lekkomyślna, każde jéj słowo niszczy moje marzenia! Dwa dni zamęzcia, a już ułożenie 40letniéj strojnicy.« — »Brawo, brawo! lecz musisz pozostać w téj zmianie.« — »O, bądź spokojny... Jak się zowie ta, o któréj mówiłeś?« — »Dziś w wieczór obaczysz ją; przyrzekam ci to.« — »Do widzenia się z tobą; czekaj na mnie o godzinie 7méj przed San Carlo; mam jeszcze jeden interes do załatwienia.«

Van-Dyk pospieszył do dom, zdjął ze ściany swego pokoju zasłoniony obraz bez ram; byłto obraz hrabiny Brignole, wielkości naturalnéj; arcydzieło, które malował z pamięci i w szaleństwie rozżarzonych namiętności ukończył; postrzegano tylko, że tak pewna ręka mistrza, drżała przy łonie ubóstwionéj pani, i że wzruszenie kochanka zwyciężyło zwykłą moc jego pęzla. Van-Dyk przesłonił się tém płótnem, jak suknią, narzucił się swym płaszczem i wrócił do pałacu Durazzo. Szedł

prosto do galeryi, nie każąc się zameldować, otworzył pracownię i postawił obraz hrabiny w ramie. Zawołał potém służącego i rzekł mu: »Proszę oznajmić panu hrabiemu, że obraz jego małżonki jest już gotów.« I oddalił się.

W kilka dni poźniéj ożenił się z córką lorda Ruthven, hrabiego Gowrie. Byłto związek, dzięki czynnéj i roztropnéj pomocy hrabiego Pallavicini, całkiem na prędce improwizowany. Lecz biédne serce artysty było zranione, umarł on na suchoty w 40tym roku życia.

Kobiéty zabiły już wielu artystów, lecz artyści żadnéj kobiéty.

Taka jest historyja, którą mi dnia jednego w pałacu Durazzo w Genui przed obrazem hrabiny Brignole, roboty Van-Dyka, opowiadano.

PAMIĄTKI GROBOWE.

Powiastka ze zdarzenia prawdziwego.*)

I.

Po górach Krzemieńca wiatr szumiał jesienny
I listki pożółkłe gdzieś w pola rozmiatał,
Z po za chmur niekiedy błysnął promyk sennéj
Gwiazdy; niedopérz piskliwy wylatał
Z dziennego schronienia; gwar w mieście ustawał.
Za miastem po drodze dwóch ludzi szło w górę,
I starszy młodszemu rady jakieś dawał,
Młodszy był milczący, lice miał ponure,
Niósł w ręku motykę, i dziko poziérał
W około — snać jakieś nie dobre snuł myśli,
Niekiedy ukradkiem łzę z oka ociérał.
I z wolna szli daléj, aż na smętarz przyszli.
Tu młodszy się rzucił na grób jeszcze świeży,
I ziemię całował i jęczał i szlochał.
O łatwo odgadnąć, kto w grobie tym leży, —
Tam spała dziewica, którą on tak kochał!
Poczém się obadwa do pracy rzucili —
Już grób odkopany, widać wieko trumny,
Znów stoją w milczeniu. I rzekłbyś w téj chwili,
Że to dwie stojące nad grobem kolumny,
Że to dwa nad grobem zwieszone cyprysy.
W tém młodszy w dół skoczył i oderwał wieko:
Długo się wpatrywał w znane sobie rysy
Odmiennéj twarzy, i łez gorzkich rzéką
Długo je obmywał. Aż księżyc na czyste
Niebo wypłynął, i pojrzał ku ziemi,
By to widowisko smutne, uroczyste,
Przez chwilę oświécać promieńmi srébrnemi.
Słychać było wtenczas głośne w grobie jęki,
Widać poźniéj było jak z dzikim uśmiéchem
Zdjął młodzian zmarłéj rękawiczkę z ręki;
Jak potém jéj włosy ucinał z pospiechem,
Jak chciwie w zanadrze pamiątki te chował,
Jak znowu łzy jemu trysnęły ruczajem,
Jak w końcu z rozpaczą te usta całował,
Które go nie mogły odcałować wzajem,
Lecz świadek téj sceny, towarzysz młodziana
Wpatrując się pilnie w umarłéj oblicze;
Miał dostrzedz, że w twarzy jéj błysnęła zmiana,
Gdy jéj obcinano ozdoby dziewicze,
Że jakby gniew patrzał z chmurnego jéj czoła.
Ale to nie długo trwało, bo po chwili
Znów się ustroiła w łagodność anioła,
I twarz do uśmiechu ułożyła miléj.

II.

Już wietrzyk ranny kołysał murawę,
Co po mogiłach rosła; dzień rozświtał,
Z za chmury słońce wyglądało krwawe,
Drozd jego powrót gwizdaniem powitał;
Już dzwon na wieży jęczał franciszkańskiéj,
Budząc do modłów zakonnika w celi;
A dwaj młodzieńcy jeszcze *anioł pański*
Mówili głośno i jeszcze klęczeli
Na grobie. *Amen*, rzekli oba w reszcie
I poszli spieszno i nikt ich nie śledził,
A jednak wkrótce wieść krążyła w mieście,
Że pewien uczeń grób kochanki zwiedził
I odkopywał. Biegały pogłoski,
Że on przy sobie zawsze nosił skrycie
Jakieś dziéwicze piękne, jasne włoski,
Splecione w warkocz; że jednéj kobiécie
Je pokazywał; że przytém widziała
I rękawiczkę, że się jéj dotknęła,
Byłato długa rękawiczka biała,
Niby balowa, ale trupem tchnęła.
Szérzono poźniéj o młodzieńcu owym
Dziwaczne wieści, że w noc każdą prawie
Skoro on zasnął, wnet w stroju grobowym
Staje kochanka przed nim jak na jawie,
Z obciętym włosem, twarz jéj smutna była,
A obnażoną rękę w górę wzniosła,
I nią swojemu lubemu groziła;
A potém w straszne kształty rosła... rosła...
I znikła. W nocy takiémi widziadły
Trapił się młodzian. W dzień czegoś się lękał;
Jakieś zgryzoty serce mu obsiadły,
Darmo przed Boga wizerunkiem klękał,
Modląc się, prosząc o pokój sumienia;
Nie doznał ulgi. Aż w kilka miesięcy,
Słuchając pewnie boskiego natchnienia,
Spalił pamiątki. I odtąd już więcéj
Nigdy mu luba spokoju nie truła,
A choć doń we śnie raczyła pospieszyć,
To jak za życia, czarująca, czuła,
W boleśnych smutkach przyszła go pocieszyć.

*) Powiastka niniejsza wyjętą jest ze zbioru poezyi J. S., które niebawem wyjdą na widok publiczny, w drukarni Piotra Pillera. (Przyp. Red.)

LIST JÓZEFA LEPOLDA.

Pisany do Galicyi.

Kairo dnia 12. stycznia 1835.

Uczucie przyjaźni, jakie ku was powziąłem, w okolicach nawet spiekłéj Afryki zagasnąć we mnie nie może, i dla tego z miejsca tego, w którém niegdyś wielki Izraelita cudami swémi Faraonów przestraszał, do którego się Maryja z dzieciątkiem zchroniła, a w którém teraz zakrwawiona chorągiew dzikiego islamizmu powiewa, z miejsca tego po długiéj przerwie znowu do was przemawiam. Kochałem was, białém, jak mówi Arab, sercem, to jest: szczérém, doświadczeniami i nieszczęściami skruszoném, i z nad brzegów spaniałego Nilu, w obliczu olbrzymich piramid wzdycham do was, i chciałbym wszystkie uczucia méj duszy w wasze przelać serca. Doniosłem wam z Würzburga, że Europę opuścić zamyślam, co też wkrótce uczyniłem i zwiedziwszy Monachow, przebiegłszy cały Tyrol, Lombardyją, przybyłem przez Wenecyją do Tryjestu, gdzie wsiadłszy na okręt, puściłem się na morze. Zwiedziłem Raguzę, potém Grecyję, gdzie płakałem, widząc lud ten, potomek owych olbrzymów starożytności, pogrążony w zbrodniach i występkach; zwiedziłem Kandyją, i nareszcie przybyłem do Alexandryi, tam zwiedziłem wszystkie miejsca historyczne: stare wyschłe jeziora, ślady dawnéj ludu pracowitości; podziemne katakomby; łaźnie Kleopatry; obeliski; kolumnę Pompejusza, zgoła co tylko nosi piętno starożytności. Z Alexandryi puściłem się kanałem Machmoida do Fuoa, gdzie wsiadłszy na barkę, popłynąłem Nilem do Kairu, zwiedzając po drodze ważne miejsca. Przybywszy do Kairu, podałem mój dyplom doktorski i rozprawę, którą w Niemczech drukowałem. Po złożeniu popisu przed radą lekarską, zostałem instalowany, przez ministra wojny, jako *medecin-major* w szpitalu d'Esbeku (największym i najpiękniejszym całego państwa), w którym bardzo wiele mam do czynienia, szczególniéj iż w tych czasach gorączka morowa tu wybuchła, to jest: *dżuma*; dla tego i ja byłem od rządu wezwany, baczność moję na chorych podwoić, i w razie nieszczęśliwego wypadku do najsurowszych udać się środków.*) Mam do pomocy dwóch chirurgów, dwóch aptékarzy i mnóstwo posługaczy, nad którymi nieograniczoną mam władzę, albowiem mam prawo kazać im dać bastonadę. Pensyja moja wynosi miesięcznie 1200 piastr. czyli złp. 500, do tego dają mi jeszcze cały ubior turecki galowy, czerwony złotem haftowany, albowiem każden w służbie egipskiéj zostający, ubior wojskowy nosić jest obowiązany, dla tego i ja, będąc w randze majora do tego stosować się muszę. Anibyście mię poznali zobaczywszy mnie: miejsce faworytów zastąpiły wąsy, głowa ogólna z czubem tylko na środku, na niéj turban czerwony, z ogromnym w tył zwieszonym kutasem; kamiza; pas z szalu czerwonego na biodrach; kaftan z rękawami, na plecy zarzuconémi, jak u Polaków, czerwone trzewiki, pałasz zakrzywiony przy boku; oto macie obraz waszego przyjaciela, teraz z nożem w ręku nogi lub ręce niewinnym Muzułmanom odejmującego. Uczę się także języka arabskiego, starożytnego literalnego, a tak dalece w nowym postąpiłem, iż sam chorych egzaminuję; oprócz tego innego języka tu nie znają, jak francuzki i włoski, bez których obejść się tu nie można. Zwiedziłem już piramidy w Giza, i w Sakara; ruiny miasta Memfis, stolice dawnych Faraonów; górę Żydów; dolinę obłąkania Mojżesza; górę Mokatam, na któréj cytadela, gdzie są jeszcze ślady mieszkania Józefa Patryjarchy. W starym Kairze, czyli dawnym Babilonie, sklepienie, gdzie Maryja siedm lat mieszkała; daléj na pustyni ku Suez, ruiny miasta Heliopolis, sławne siedlisko nauk akademii, i wszystkich tajemnic dawnych kapłanów egipskich; błąkałem się na grzbietach wielbłądów po pustyni między Beduinami, napatrzyłem się, nasłuchałem i nacierpiałem wiele, a nie raz nad nędzą człowieka i zapłakałem, przecież o was zapomnieć nie mogłem. Myślę jeszcze zwiedzić wyższy Egipt, Nubiję i Abisyniję, chciałbym bowiem ruiny Tebów oglądać; późniéj zaś Syryję, Palestynę, Jerozolimę, Arabiję i górę Synai; a jeżeli mi los sprzyjać będzie, nie omieszkam parowym okrętem puścić się do Indyjów wschodnich, aby boga braminów oglądać; chcę bowiem zwiedzić brzegi Gangesu i najsławniejsze, najbogatsze miasto na całym Wschodzie Kalkutę. Może się rozśmiejecie czytając takie plany, ale możecie być przekonani, że mi nie brakuje odwagi i wytrwałości. Dziś ma tu przybyć Ibrahim-basza, który trzy lata nie był tu obecnym. Robią dla niego wielkie przygotowania, bramy tryumfalne, transparenta i t. p. W Kairze jest przeszło 300 meczetów, a każdy ma jedną lub dwie wieże, wszystkie będą do samego wierzchołka lampami kolorowémi, transparentami i t. p. iluminowane, i całe miasto oświetlone; cieszę się na ten widok prawdziwie oryjentalny. W przeszłym tygodniu nowo tu przybyły konzul jeneralny austryjacki, pan Laurin, (pod którego opieką ja tu zostaję), miał pierwsze audyjencyję u wielkiego baszy, do któréj to ceremonii i ja towarzyszyć mu musiałem. O godzinie 9téj w wieczór wyruszyliśmy z jego mieszkania; najprzód batalijon piechoty, jako straż honorowa, daléj 50 janczarów, w złoto przybranych, daléj kilku wyższych oficerów, za nimi

*) Według późniejszych wiadomości padł on sam ofiarą *dżumy*.

konzul, jego drogman i kanclerz, a za nimi my wszyscy, należący do téj ceremonijalnéj audyjencyi, na koniach; na końcu znowu oddział piechoty, a z obu stron 160 Murzynów z pochodniami. Przybywszy na cytadelę, przed próg pałacu, dano ognia z kilkunastu dział. Stary basza, otoczony swoim dworem, przyjął uprzejmie konzula, a gdy nas ten każdego z osobna przedstawiał, umiał Mehmed każdemu coś miłego powiedzieć. O godz. 11téj w tym samym wróciliśmy porządku.

— Ze Lwowa. —

W drukarni Józefa Schnajdera wyszło nie dawno w niemieckim języku pismo: *Pilzeńskie uzdrawiające źródło, w topograficznym, chemicznym i lekarskim względzie*, przez Alexandra Zawadzkiego, profesora matematyki, fizyki i pedagogiki, członka wielu uczonych towarzystw; str. 30, w 8ce. Ozdobione trzema widokami, źródła i kąpiel i równie kamieniorycina planu miasta cyrkularnego Pilzeń (Plzeń) w Czechach. (Dokładny opis tych wód Pilzeńskich, skład ich, z opisaniem doświadczonych przez te wody najlepszych skutków, robi zaszczyt panu Zawadzkiemu, szkoda tylko, że to dziełko wydając po niemiecku, nie dodał obok tłumaczenia polskiego, przezcoby przystępniejsze to dziełko się stało dla Sławianów.) *A.*

Na obchód koronacyjny w Pradze odbito następujące pamiątkowe medale w Wiédniu: Str. gł: Popiersie męzkie w koronie czeskiéj na głowie, w płaszczu królewskim, spiętym na piersiach klamrą, mającą na sobie jednogłowego rozpostartego orła. Napis w około: *Ferdinandus I. D. G. Imperator Austriae, Rex Hung. Bohem. H. N. V. Rex L. et V. G. L. ILL. A. A.*, pod popiersiem napis drobny: *J. D. Boehm. f.* Str. odw: na odcinku dolnym lew leżący, za nim stojąca tarcza z 3ma herbami, na któréj spoczywa czeska korona; nad tym w półkole napis: *Rex Bohemiae coronatus*, a pod nim napis równoległy na pół przedzielony tarczą: *Recta tueri*, a pod odcinkiem dolnym napis: *Pragae; mense Sept.* 1836. — Drugi medal przedstawia: Str. gł: Popiersie kobiéce w diademie nad czołem, a z koroną na wiérzchu głowy, podwójnym splotem warkoczów otoczonych, z kulcami w uszach, z podwójnym sznurem pereł na szyi i piersiach i w płaszczu królewskim. Napis w koło: *Maria. Anna. Augusta. Ferdinandi I. Imp. et Regis*; pod popiersiem napis drobny: *J. D. Boehm f.* Str. odw: Wśrodku poduszka z litéj materyi, taśmą obwiedziona ze dwoma kutasami, na niéj spoczywa czeska korona a założonémi na krzyż berłem i rószczką laurową; pod niemi stoi wiérzchem o poduszkę oparta tarcza, podługowata zaokrąglona z dwoma po bokach w górze wyrąbami, niosąca na sobie lwa dwuogonnego w koronie. Nad koroną napis półłukowy: *Et altera mihi Patria.* U spodu drugi, półłukowy napis odwrotny: *Coron. Pragae, mense Sept.* 1836. — I dwa do rozrzucania pieniążki, jeden większy, drugi mniejszy, ale z jednakowym stęplem. Str. gł: Popiersie męzkie w wawrzynowym wieńcu, napis w koło: *Ferdinandus I. D. G. Austriae Imperator;* str. odw: u góry korona czeska, nad nią przerwany obłączasty napis na pół: *Recta tueri;* pod korona równolegle idzie w czterech rzędach napis: *In Regem Bohemiae coronatus Pragae mense Sept.* 1836. — Piękność rznięcia w większych modelach pana J. D. Böhma z wszelką słusznością pochwalić się należy; ozdobił nimi bardzo zbiór koronacyjnych medalów tak licznych. *A.*

Z Krakowa. Wyszły tu dwie ważne, ciekawe i bardzo potrzebne książki: 1) *Gramatyka polska*, przez Muczkowskiego; i 2) *Rys dziejów pismiennictwa polskiego*, przez Lesława Łukaszewicza. (G. R.)

W Petersburgu wyszedł b. r. z drukarni Woroblewa przekład poematu Puszkina, pod napisem: *Połtawa*, na język mało-rossyjski przez E. Hrebenkę. Tegoż tłumacza wyszło w r. 1836 drugie wydanie mało-rossyjskich przypowieści: *Małorossyjskija prykazki.*

Pewien wieśniak ze wsi Koblewka o 45 wiorst od Odessy odległéj, wykopał między ujściem Limanu Tiligul (dawną rzéką Axiak), a jeziorem Karabat w tém samém miejscu, w którém dotąd postrzegać się dają ostatki dawnéj budowy, tablicę marmurową z napisem greckim, którego dosłowny przekład jest następujący:

Dobrą dolą!
Achilesowi, władzcy Pontu
ci, za Leonidesa Achilesowego wodzowie:
Newazos Dotosow, Eros Ewrisiwiosow,
Karasstos Arguanagosów,
Polios, Elios, Achiles,
Murdagos Kafanagosów,
na dobre mienie miasta
i własnego zdrowia (ofiarowali)
Pomnik,
(roku) *gdy Leonides Achilesów*
zwyciężył dzidą.

Napis ten potwierdza sposobem niewątpliwym mniemanie uczonego starożytnika, p. Stępkowskiego, że na lewym brzegu rzéki Axiaku nie daleko jéj ujścia było niegdyś greckie miasto Odyssos, o którém Pliniusz Ptolomeuss i inni pod nazwiskiem Ordessos wzmiankują. Pomnik powyższy odnieść można do drugiego wieku po Chrystusie, jako ostatniego okresu pobytu osad greckich nad Morzem Czarném.

Kronikarz czeski Hajek opowiada w swojéj kronice pod rokiem 1348, że księża Benedyktyni w klasztorze S. Hieronima na nowém mieście Pragi, byli sami Sławianie i przechowali w swoich archiwach list następujący: »My Alexander, króla Filipa Macedońskiego syn, piérwszy cesarstwa greckiego władzca, syn wielkiego Jowisza »przepowiedziany od Nektanaba, słońca i księżyca wyznawca, zagładzca królestwa Persów i Medów, pan całéj »kuli ziemskiéj od wschodu do zachodu, od południa do »północy. Prześwietnemu sławiańskiemu narodowi i jego »mowie przesyłamy, naszém i namiastków naszych imieniem, którzy po nas rząd świata obejmą, łaskę naszę, »pokój i pozdrowienie. Iżeście nam zawsze wiernie służyli, walecznie się w wojnie spisowali i zawsze pomocą nam byli, przekazujemy wam tedy wsze krainy »świata od wschodu aż po włoskie ziemice, leżące ku południowi, wolno, dziedzicznie i po wsze czasy; aby tam »nikt inny nie mieszkał, ani się osiedlał, tylko wasi. A ktoby »się tam na mieszkanie sadowił, będzie wasz rob, a jego »namiastki waszymi pachołki będą, i na wieczne czasy »pozostaną. Dań w naszém nowostawianém mieście Alexandryi na wielkiéj rzéce Nilu, dwunastego lata panowania naszego, za zezwoleniem wielkich bogów Jowisza, »Marsa i Plutona, takoż i wielkiéj bogini Minerwy. »Świadkami tego są: nasz waleczny wojownik Lokoteta »i innych książąt jedynastu, których my na przypadek »zejścia bezpotomnie, dziedzicami całego świasta mieć »chcemy.« — Widać z téj próbki, jeźli tylko jest dobrze przełożona, że styl dworu 15go i 16go wieku, dla Alexandra Wielkiego nie był nowością.

W berlińskiéj królewskiéj akademii sztuk pięknych istnieje od niejakiego czasu, z funduszu wniesionego przez p. Michała Beer, tegoż nazwiska roczna nagroda 500 talarów, za najlepsze z dzieł malarskich lub snycerskich artystów religii żydowskiéj, które corocznie do konkursu przesyłane bywają. Ostatniemi dniami nagroda ta przyznana została Julinszowi Moser, rodem z Gumbinij

w Litwie, wychowańcowi wspomnionéj akademii, za obraz, przedstawiający Rachel i Jakóba. (T.P.)

W skutek postrzeżenia, zrobionego od naturalistów, że wyniszczenie lasów przy źródłach rzék, i w ogólności na wzgórzach, jest przyczyną zmniejszenia wody w rzékach, wyznaczył rząd rossyjski komisyję do poszukiwań, o ile to postrzeżenie daje się zastosować do rzék rossyjskich, mianowicie do Wołgi i zachodniej Dźwiny, które się bardzo piaskiem zamulać poczęły, aby w razie potrzeby przedsięwziąć środki, skuteczne do zaradzenia wielkiemu niedostatkowi, jaki ztąd wyniknąć może.

Z powodu bliskiéj zimy, zwłaszcza że już parę razy nie zły był mrozek, podano do wiadomości publicznéj sposób tani ogrzewania się przez zimę, szczególnie dla kawalerów. Sposób ten, wynalezionym został i hardzo korzystnie używanym przez jednego chudeusza, którego biéda wielce pożytecznych oszczędności nauczyła. Uzbiérał on sobie przed zimą 5 złotych, i za tanich jeszcze czasów kupił za nie nie złą furkę drzewa, drzewo to złożył w komórce pod strychem, o piątro wyżéj nad maleńką swoją stancyjką. W zimie gdy przyszedłszy do stancyi, uczuł nieprzyjemne wrażenie skutkiem nieopalonego pieca będące, szedł na górę do komórki i znosił wszystkie drzewo do stancyi. Można się domyśléć, że to go dobrze *rozgrzało*. Gdy mu znów było zimno, zaniósł na powrót drzewo pod strych, i tym sposobem po skończonéj zimie drzewo, którym się przez 5 miesięcy ogrzewał, przedał jeszcze prawie bez najmniejszéj straty. (K.W.)

W Paryżu chciał nie dawno pewien młody człowiek zaprowadzić obyczaj angielski: związał on swoją żonę i wywiódł na targ, aby ją sprzedać. Próba jego tak dalece się nie powiodła, że można wątpić aby ten nowy rodzaj anglomanii kiedykolwiek wszedł we zwyczaj. Chociaż bowiem żona była dość brzydka, a zatém nie wielkiém zdawało się niebezpieczeństwo, jednakże lud oburzony zbiegł się na około męża, który chcąc się ratować, uciekł do kramu, gdzie go policyja uwięziła. Mnóstwo ludu biegło za nim z groźbą i obelgami.

Przy sposobności poszukiwań w archiwum St. Chapel, znaleziono oryginał procesu dziewicy Orleańskiéj. Na marginesie ciągnętego z niéj protokułu, odrysowany był jéj obraz, co bez wątpienia uskutecznił pisarz protokułu, w chwili od badań wolnéj; rysunek ten służył poźniéj za wzór do wszystkich obrazów Joanny d'Ark. Myśl pisarza w sądzie rueńskim znalazła w nowych czasach naśladowców. Tak w czasie procesu Fieska, jeden z jego sędziów, Markiz de Crillon odrysował wierny jego obraz, a Visconti d'Houdelot; uczynił to samo podczas narad w sprawie Alibeau.

Dzieło Chateaubrianda: *Essai sur la litterature anglaise*, przełożone zostało na język angielski. Pewien krytyk przy téj sposobności tak się o nim wyraża: »Nazwiejmy Chateaubrianda jak chcemy, zawsze on jest i zostanie całym człowiekiem i c a ł y m poetą. Serdeczny w sobie i zgodny z sobą, żyje czysto w krainie tych władz niebieskich, które są podstawą jego bytu, i jest z tego względu w swoim wieku jako poeta i pisarz prawie jedyny. Nie wielu czuło tak pięknie, nie wielu tak mocno i stale wierzyło, a żaden nie przeżył swego bytu z tak męzką niewinnością.«

Od niejakiego czasu daje się słyszeć w Paryżu na przedmieściu *St. Antoine*, w domach pod N. 180 i 182 położonych, podziemny łoskot, podobny do szumu rzéki, przerywanego gwałtownem biciem młotów. Zwierzchność zwróciła na to swoją uwagę, i kazała wszystkie piwnice, a nawet studnie w téj okolicy ściśle przetrząsać, nie odkrywszy dotąd prawdziwéj tego przyczyny.

Nie dawno umarł w pewném mieście we Francyi stary pensyjonowany oficer; jedna kompanija gwardyi narodowéj tego miasta otrzymała rozkaz odprowadzić zwłoki jego do grobu z wojskowémi honorami, jakie jego stopniowi przynależały. Niesiono trumnę do kościoła, a z tamtąd na smętarz. Podczas spuszczania jéj do grobu, zaledwie gwardyja narodowa dała ognia, aliści trup mniemany, zbudzony według wszelkiego podobieństwa wystrzałem, wydał krzyk wielki; pospieszono otworzyć trumnę i rozwinięto całuny, a zmarły powstawszy, wziął się za ręce z przyjaciołmi, którzy go do grobu odprowadzali, i wrócił z nimi do domu.

Ostatniemi dniami w Londynie 50letnia żona jednego rzemieślnika urodziła mu czworo bliźniąt; trzech chłopców i jednę dziewczynę. Ojciec ich ma już sam 63 lat wieku i żona jego od lat dziesięciu była niepłodną; ostatnią wszakże razą, miała także dwoje bliźniąt. Wszystkie dzieci jak i matka są w najlepszém zdrowiu.

P. Herword, chemik w Jorku, zrobił próbę bielenia lnu, która tak pomyślnie wypadła, że przedstawione wzory zrobiły wielkie wrażenie między fabrykantami, i każą się spodziéwać zupełnej przemiany i ulepszenia w dotychczasowém urabianiu tego produktu. Wielu brało przedstawione im wzory za jedwab, a len tym sposobem urobiony można prząść na najcieńszą przędzę do robienia koronek, zasłon i t. p. Nitka jego tak jest piękna, że znawcy zapewniają, iż nic podobnego nie widzieli, i są tego mniemania, że to doświadczenie przyniesie Angli wielkie korzyści.

P. Inlaison, Szkot rodem, ukończył nie dawno wyrachowanie prawdopodobieństwa, w jakim panna każdego wieku znajduje się we względzie dostania męża, i doszedł do wypadków następujących: Na 1000 dziewcząt wychodzi zwykle za mąż: W wieku lat 14 do 15, osób 32; w 16 leciech do 17, 101; w 18 — 19, 219; w 20 — 21, 233; w 22 — 23, 166; w 24 do 25, 102; w 26 — 27, 60; w 28 — 29, 45; w 30 — 31, 18; w 32 — 33, 14; w 34 — 35, 8; w 36 — 37, 2; w 38 do 39, 1. Z rachunku tego okazuje się, że największa liczba panien wychodzi za mąż w wieku lat 20 do 21, i że panien, mających już lat 28 do 29, wychodzi jeszcze za mąż nie mniej od dziéwcząt liczących lat 14 do 15, z tą tylko różnicą, iż dziewczynie, mającéj wieku lat 16, pozostaje jeszcze w następujących latach prawdopodobieństwo do wyjścia za mąż w stosunku 953: 1000, kiedy pannie mającej lat 29 takież same prawdopodobieństwo zostaje tylko w stosunku 88 : 1000, to jest, że na 1000 panien tego wieku osiada na koszu około 912.

P o b o ż n e e d y k t a c e s a r z a c h i ń s k i e g o. Gazeta Pekińska z miesiąca grudnia roku przeszłego zawiera edykt następujący: »Nadeszła już pora zimy, a jednak śniegu (w Chinach północnych) dotąd nié ma. Ta okoliczność wielce nas martwi. Rozkazujemy więc, ażeby polecono kilku księżom z sekty Tao udać się do naszego przewysokiego pałacu, gdzie mają postawić ołtarz, i modlić się szczérze skruszoném sercem. My cesarz, staniemy osobiście przed ołtarzem, i będziem ofiarowali kadzidło.« (Następnie wymieniono ośm oficérów z wojska Mandżu, którzy kolejno po dwóch odbywać mają przed ołtarzem straż nocną, i z wieczora aż do rana ofiarować kadzidło.) W parę dni potém obwieszczono następujący cesarski dopis: »Dnia 11go t. m. ofiarowaliśmy we własnéj przewysokiej osobie u stopni ołtarza, i serdecznie błagaliśmy wysokich niebios o zlitowanie. Jeszcześmy nie skończyli modlitwy, aliście śnieg i deszcz spadł w obfitości i trwał noc całą. Tą łaską niebios jesteśmy wskróś przeniknieni i szczérze wdzięczni za nią. Rozkazujemy tedy sprzątnąć precz ołtarz, a księża Tao-dżö niech wzniosą hymn podzięki. Nasi cesarscy urzędnicy niech nagrodzą tych pobożnych mężów według prawa. Czcijcie to nasze postanowienie z bojaźnią i drżeniem!«

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.